

Ciastko z kremem

*Ponad drogą Irpień płynie,
Za Irpieniem wał wzniesiony,
A za wałem oko ginie
I kijowskie słychać dzwony.*

(stara piosenka)

Pewnego dnia zamiast krzyknąć: „Już jestem, czy to mama wołała na obiad?“, kichnąłem przeraźliwie głośno. Babunia poruszyła się w fotelu. Spojrzawszy znad okularów, powiedziała surowo:

— Co za okropne dziecko, znowu kicha... W Kijowie o tej porze roku na pewno nie miałby kataru.

O Kijowie mówiło się ciągle. Dorośli wracali tam przy każdej okazji. Kijowski miraż unosił się nad równinnym krajobrazem

Warszawy. Wszystko dawało powód do porównań i do wspomnień.

Kijowianie odwiedzali nas często. Ich rozmowy kończyły się zwykle westchnieniem pełnym sentymentu. Przysłuchiwałem się, nie odczuwając ani tęsknoty, ani wzruszenia. Byłem mały. Kijowskie dzieciństwo wydawało mi się równie odległe jak czasy, w których rzeka Irpień wytyczała granicę Rzeczypospolitej. Kresowym przyjaźniom muszę oddać sprawiedliwość: trwały aż do śmierci.

Puszczałem mimo uszu nazwy dzielnic, ulic, zaułków. Mówiąc o Kijowie, dorośli mrużyli oczy. Próbowałem ich naśladować, lecz nic z tego nie wychodziło. A tak chciałem zobaczyć choć raz to, co z całą pewnością dostrzegali starsi.

Po południu słońce, chyląc się za kijowskie wzgórza, rozpałało zielone i złote kopuły. Cienie wież zsuwały się na Padół i na Dniepr, a piaski Truchanowskiej Wyspy nabierały złocistego blasku. O tej porze, gdzieś koło piątej, zaczynał się ruch na przystaniach. Jeden za drugim odzywały się parostatki, zapowiadając rychły odjazd. Oto już rusza ogromny, biały „Sławianin”. Odpływa do Jekaterynosławia z tysiącem pątników wracających z Ławry. W chwilę później odbija „Nikołaj”, też biały i też bardzo duży. Mniejsze statki zwracają się dziobem w górę rzeki. Płyną do Czernihowa nad Desną, do Orszy, do Czarnobyła nad Prypecią.

Parowce zaoarały Dniepr. Strome fale kołyszają łodziami, potrząsają bajdarkami, syczą na piaskach, uderzają w przycumowane u brzegu berlinki, pełne kawonów i smoleńskich antonówek. Na galarach targ trwa do zmroku. Wybredne gospodynie wybierają w jabłkach, próbują kawony. „Dobry kawon po naciśnię-

ciu powinien zatrzeszczeć. Antonówki kupowało się na pudy, kawony na setki...”

To było dla mnie prawdziwe niemieckie kazanie. Pudy, wiorsty, dziesięciny i wiadra myliły mi się ciągle. Nie mogłem zrozumieć, po co tak dawniej komplikowano życie?

— Od tego przeliczania mogła głowa pęknąć... — powiedziałem kiedyś. — Z kilogramów na pudy, z kilometrów na wiorsty i mile. A jeszcze te arszyny i te jakieś wiadra...

— Co ty pleciesz? A któż tam przeliczał! Nic nie pamiętasz? Nic a nic?

Braku zainteresowania nie brano mi za złe. Czułem jednak, że moja obojętność wobec „spraw kijowskich” sprawia rodzicom przykrość. Nic na to nie mogłem poradzić. Oni byli jeszcze z Kijowa, a ja już z Warszawy. Spod kijowskiej panoramy, spod cebulastych kopuł i znad obcej rzeki uciekałem na róg do budki na kwas i po lizaki. Kupowałem tylko zielone. Zresztą za zielonymi przepadali wszyscy. Zieloną farbę robiono na arseniku — tak mówiono w domu — i dlatego o zielone cukierki zawsze wybuchała awantura. Z tego samego powodu nie malowano u nas na zielono wielkanocnych jajek.

— Proszę o zielony, o bardzo zielony — mówiłem grubym ze wzruszenia głosem do pani Brykowej z budki.

Ale potem, przy rozwijaniu lizaka z papierka, pocily się palce i mróz włożył za koszulę. Trzeba było nadrabiać miną.

— A jak się otruję? Ale będzie heca, o rany...

— Phi, oblizałem raz całego muchomora i nic mi nie było.

— Muchomor nie jest zielony...

Stłumiwszy niepokój, lizaliśmy na wyścigi. Dziewczynki cmokały cytrynowe, a lizaki czerwone cieszyły się powodzeniem

wśród jędzowatych nianiek. Złe kobiety podtykały malinowe świństwo tupiącym ze złości berbeciom.

— Liźnij, Lalunia, bo czerwone dobre.

Obrzydzenie brało. Każdy wiedział, że malinowe są z buraków i na sacharynie. Zielony lizak popijało się kwasem. Warszawski kwas chleбny, „choć nie umywał się nawet do kijowskiego”, smakował wyśmienicie. Po pierwszym łyku zapomniałem o Kijowie i o widoku z Włodzimierskiej Górki. Wracalem do domu z pustą głową i mogłem słuchać od początku.

Jedynym punktem zaczepienia dla moich uczuć, niestałych i chwiejnych, była forteca na Peczersku. Moja ścieżka w przeszłość prowadziła przez most nad fosą. W fortecznym gmachu, zwanym Mikołajowską Bramą, przesiedział pięć lat mój dziadek za udział w Powstaniu. Peczersk wbił się w pamięć. Wiele lat później, kiedy po raz drugi znalazłem się w Kijowie (Kijów wydał mi się wtedy znajomy, przypominał Lwów), próbowałem odszukać ślady wiekowej warowni. Wszystko się jednak zmieniło. Nie było już ani kijowskiej cytadeli, ani mostu łańcuchowego na Dnieprze.

Most łańcuchowy, nawet przez Europę uznany za „jeden z najładniejszych” (model posłano do Londynu i wystawiono w Pałacu Kryształowym), zbudował Anglik.

Włoch zaprojektował najpiękniejszy zabytek architektoniczny miasta — cerkiew św. Andrzeja (podczas remontu, gdy przyszło do wymiany spróchniałych belek na żelazo, spartolono główną kopułę i włoską cerkiew ubrano w ruską rzepę. Mimo licznych poprawek i gorliwej dłubaniny nie udało się nadać kopule dawnej smukłości i strzelistych kształtów), do której prowadziły piękne schody z lanego żelaza liczące pięćdziesiąt trzy stopnie. Z tarasu

otaczającego cerkiew, jeśli spojrzeć w lewo, widziało się wzgórze Kisielówki. Stał tam niegdyś zamek wojewodów kijowskich.

Z polskich pieniędzy, z Krzemieńca i Wileńskiej Akademii, powstał kijowski uniwersytet. A cytadelę zafundował miastu car Mikołaj Pierwszy. Car własnoręcznie kreślił plany fortów i kazamat. Osobiście doglądał robót i dyrygował budowniczymi.

Czas pewien zaliczano Peczersk do pierwszorzędnych twierdz Rosji, lecz groźne fortece starzeją się również i prędko schodzą na psy. Zdziaziała więc i kijowska. W latach dziewięćdziesiątych zeszła do roli „składu fortecznego”. W budynkach ulokowano fabrykę armat oraz oddziały artylerii i saperów. Przy bramie, zgodnie z carską modą, wystawiono na widok publiczny „zasłużone pontony”. Na tych pontonach wojska rosyjskie, idąc przeciw Turkom, forsowały Dunaj w roku 1877.

Z obronnej świetności pozostały cytadeli głęboka fosa, zarośnięta trawą, i zwodzony most.

Pewnie istniały jeszcze inne drogi z fortecy do miasta. Byłem jednak pewien, że dziadek opuścił cytadelę przez zwodzony most. Uwolnienie nastąpiło w okolicznościach dopasowanych ściśle do miejsca i zgodnych z duchem czasów. Niespodziewanie przybył na Peczersk brat cesarza. Podczas inspekcji lochów i kazamat natrafił wielki książę na „kamienny worek”. Tak nazywano celę bez okna, ciasną, z sufitem na wysokości ramion dorosłego mężczyzny. W „kamiennym worku” spędził dziadek osiemnaście miesięcy. Była to dodatkowa kara za próbę buntu.

Dostojny gość przekreślił wszystko jednym słowem. Kazał wypuścić. Pański rozkaz natychmiast wykonano. Nieprzytomnego więźnia wypchnięto poza mury. Oślepiiony słońcem, ścięty z nóg powiewem świeżego powietrza, więzień zatoczył się

i upadł. Wielki książę kazał zwolnić, nie kazał czynić więcej. Gdy wartownicy zatrzasnęli bramę, nad leżącym zebrali się przechodnie. Potem nadszedł furgon z chlebem. Piekarz wziął dziadka na wóz i zawiózł do miasta. Ot, tak, z dobrego serca.

Dalej potoczyło się wszystko normalnym trybem. Paszport ze stemplem „bywszyj miatieźnik” wytyczał kierunek na wschód. Kiedy upłynął przewidziany czas i stał się możliwy powrót do „zachodnich prowincji”, wrócił dziad na Ukrainę. Nad Salichą, pod Borodianką, Koszowatą, w okolicach Berdyczowa kryły się po lasach samotne kurhany, mogiły powstańców z roku 1863. Na trasie między Płoskirowem a Kamieńcem sterczały jeszcze opłotki osad, których mieszkańców wysiedlono na Sybir ukazem carskim wymierzającym kary za Powstanie. Przez kraj pełen wspomnień ciągnęła rodzina dziadka w okolice Kijowa. Po trzech latach progimnazjum w Głuchowie i po roku w Sumach trzeba było pomyśleć o jakiejś porządnej szkole dla mego ojca. Wybrano kijowskie Pierwsze Gimnazjum.

W tych ciągłych przeprowadzkach, wśród codziennych kłopotów i trosk zagubiła się cała powstańcza historia. Co było przed Peczerskiem? — pytałem często. Spodziewałem się opisów bitew i potyczek. Chciałem usłyszeć tętent idących cwałem koni. Chciałem zobaczyć błysk powstańczej szabli. Każdy miał chyba taki okres w życiu, że blask dobytej szabli uznawał za blask najbardziej jasny.

Opowiadano mi same nudne rzeczy. Z zawiedzioną miną słuchałem o jazdach z powiatu do powiatu, o łączności, jaką „partia” Popowskiego (pod Popowskim służył dziadek), działająca w berdyczowskim powiecie, utrzymywała z oddziałami w innych okolicach. W połowie 1863, zdaje się, że w czerwcu,

partię rozbito. Z pewnością wiedziała kiedyś babunia, lecz wiek zrobił swoje, zdążyła zapomnieć i ona. Dziadek spisał wspomnienia. Papier był dobry i schowanie pewne, a mimo to diabli pamiętniki wzięli. Zabrała je carska żandarmeria podczas rewizji w 1912 roku. Przyszli wtedy po ojca. „Ciągle ktoś kradnie nasze pamiętniki albo przychodzą takie czasy, że sami musimy niszczyć papiery” — tak kwitowano w domu stratę rozdziału rodzinnej historii.

Dziadek doczekał się obalenia caratu. Szedł w pierwszym szeregu rewolucyjnego pochodu wiosną 1917. Doczekał się również wolnej Polski, ale do Polski już nie dojechał. Wśród nielicznych pamiątek, jakie z Kijowa przywieźliśmy do Warszawy, na pierwszym miejscu figurował szeroki pas z prostą, ręcznie kutą klamrą. Uznałem od razu, że jest to pas powstańczy, najprawdziwszy w świecie.

— Patrzcie — mówiłem kolegom wpatrzonym w pamiątkę — tu ślady po rapciach, a tam, z drugiej strony, ślad po rewolwerze.

Pas robił wrażenie. Takich pasów nie sprzedają w sklepach. To nie fasowany rzemień. Pokazywałem pamiątkę od wielkiego święta. Za każdym razem powstawał spór, czy szablę nosi się przy prawym czy przy lewym boku. Z tego powodu chłopcy po kolei okręcali się pasem, żeby przekonać się namacalnie, gdzie szabli właściwe miejsce. Którejś niedzieli, kiedy bawiliśmy się w ogródku, przyszedł mały Kuna. Wytrzeszczył oczy i powiedział z głupawym uśmiechem:

— Tu plama i tam plama.

Poczułem, że to się źle skończy. Mały Kuna miał tego dnia wyjątkowo beczelną gębę.

— To jest pas z Powstania! — krzyknął Tadzik drżącym głosem.

— Na teczce tatusia też są tłuste plamy z masła.

Tego mieli już wszyscy dosyć. Mały Kuna dostał w ucho i nic mu się więcej nie pokazywało. Wkrótce pokazywanie pasa skończyło się w ogóle. Straciłem serce do pamiątki. Na pytania kolegów odpowiadałem tajemniczo:

— Oddało się do muzeum, bo będzie wielka wystawa.

W rzeczywistości sprawa wyglądała znacznie smutniej. Po awanturze, jaką wywołał mały Kuna (wrzeszczał pod oknem, jakby mu ktoś nasikał do ucha), zabroniono mi „kłamstw i cygaństw kosztem śp. dziadka”. Musiałem pogodzić się z faktem, że pas pochodzi z czasów późniejszych i z przeszłością powstańczą nie ma nic wspólnego. Cała wartość pamiątki sprowadzała się do żelaznej klamry, wykonanej własnoręcznie przez dziadka. „Powstańczy pas” powędrował do szuflady w biurku. Przeleżał tam aż do następnego powstania, do Powstania Warszawskiego.

Pozbawiony oparcia, bo zarówno rzeczy, jak opisów, zostałem skazany na własną wyobraźnię. Brak wiadomości o działaniach partii Popowskiego psuł mi szyki, a służba łączności dawała kiepskie pole do popisu. Jak wyglądało „jeżdżenie z powiatu do powiatu”? Nie miałem o tym zielonego pojęcia. Ale bardzo lubiłem dziadka, choć znałem krótko. Nie mogłem zostawić staruszka ot tak, bez niczego...

— Galopuje dziadek z powiatu do powiatu w bardzo ważnej sprawie, aż tu nagle rosyjski generał nadjeżdża z przeciwnika. Dziadek nic, ani słówka. Pamięta, że ma do spełnienia tajne polecenie, więc choć ręka świerzbi, pary z ust nie puszcza. Ale generał pcha swoją szkapę na wierzchowca dziadka i woła: „Z

drogi, widzisz ty, kto jedzie?” W dziadka jakby piorun strzelił. Dał koniowi ostrogę, a generalinie w pysk. Generał jęknął: „Hospody!” upuścił nahajkę i fajt z konia w piach. Nadleciał ordynans, wziął pana za cholewy i pociągnął po trakcie do żydowskiej karczmy. Tam z onucy namoczonej w kwaśnym mleku zrobiono generałowi okład i dano do picia lipowy kwiat na poty. A tymczasem dziadek, przez pola i lasy, galopował z powiatu do powiatu w ważnej tajnej misji. Naturalnie ścigali dziadka dragoni, huzarzy i sfera Kozaków.

— I co, złapali?

— Innym razem. A generał, choć się spodziewał medalu i snił o nagrodzie w rublach, poszedł na emeryturę. Podczas parady car, zobaczywszy napuchniętą gębę, raczył się spytać, dlaczego generał ma śliwkę pod okiem. „Co takiego? Pił lipowy kwiat? Ach, paszoł won!” — car krzyknął i przez fligeladiutanta posłał generałowi kopniaka. Generał zawył i na zawsze znikł sprzed Najwyższych Oczu.

Scena generalska cieszyła się wielkim powodzeniem wśród moich kolegów. Chłopcy wołali pod oknem:

— Chodź się bawić... Pogadamy o tym generale, co dostał po mordzie. Weź wszystkie pułki i dużą armatkę.

— Ciszej... — upominałem, dając ostrzegawcze znaki. — U nas w domu nie lubią się chwalić.

Pakowałem do kieszeni ołowiane wojsko i z przyjacielem od serca biegłem do ogródka pod czarne porzeczeki. Krzaki pachniały pluskwami.

— Ale fajnie śmierdzi! Czujesz?

— Klawy smród. W żadnym ogródku takiego nie ma.

— Pewnie, czarne porzeczeki to smrody nie.